

KULTURA

Newsweek



Magda Miklasz, reżyserka teatralna,
na swoim osiedlu Dywizjonu 303
w Nowej Hucie, Kraków,
8 listopada 2016 r.

Lidia Hostyńska, emerytowana nauczycielka,
mieszkała bloku nr 19,
Kraków, 10 listopada 2016 r.

DAWNO, DAWNO TEMU, ZA GÓRAMI, ZA LASAMI była sobie wielka płyta. Szara, brzydka i nieotynkowana. Zbudowana pośrodku niczego, na obrzeżach krakowskiej Nowej Huty, na przełomie lat 70. i 80. Osiedle Dywizjonu 303. Jak ktoś się tu przeniósł ze starej Huty, to mu było trochę żal. A jak z Krakowa, to jeszcze gorzej. No ale mieszkania były nowe i wcale nie takie małe.

Reżyserka Magda Miklasz spędziła tu całe dzieciństwo. Ostatnio wróciła, by wspólnie z mieszkańcami przypomnieć stare blokowe opowieści. Powstanie z nich spektakl „Baśnie z 1001 bloku”. Premiera 18 listopada w Łaźni Nowej. Mieszkańcy się raczej cieszą. Ciekawi ich to. Większość mieszka tu od początku, czyli od ponad 30 lat. – Mieszkałam na szóstym piętrze – mówi Miklasz i wyciąga dłoń, żeby pokazać okno. Dziś wielka płyta nie jest już ani szara, ani bura, tylko ocieplona i z różową elewacją. – Z balkonu widać było wielkie nic. I Tatry w oddali. Miałam w mieszkaniu prawdziwy fortepian, sąsiadka niżej też. Na każdym piętrze ktoś na czymś grał, fortepian, skrzypce, flet. A na 10. był facet, co grał na perkusji. Jak zaczynał grać, w całym bloku było trzęsienie ziemi.

Mijają nas starsi panowie opatuleni w za duże kurtki i z zaróżowionymi nosami. – Chu, chu, idzie dobra zmiana – zagaja jeden przyjaźnie. – O, pan fotograf. To przepraszam.

– Na siódmym piętrze mieszkała pani, o której wszyscy mówili, że jest zielarką – opowiada Miklasz. – Czyli dla dzieciaków – czarownicą. Każdy był ciekawy, co trzyma w mieszkaniu. Podobno miała dużo ziół. I książek. I dziwnych rzeczy. Było też trochę ludzi, którzy przyjechali z Krakowa, mieli poczucie, że obniżyli poziom. Robili wszystko, żeby stworzyć wrażenie, że nie mieszkają w bloku. Niektórzy nie chcieli, żeby ich dzieci bawiły się z tutejszymi. Trzymali w mieszkaniach stare kredensy. Jak się wyjrzało przez okno, to wydawało się, że do tego Krakowa jest tak strasznie daleko.

PANI LIDIA HOSTYŃSKA Z DRUGIEGO PIĘTRA dostała mieszkanie z książeczki: 65 metrów, 3 pokoje, balkon z widokiem na podwórko. Czekala 16 lat, dostała, odebrała, ale tak się złożyło, że zaraz wzięła córkę i pojechała do Chicago. Córka miała dwa lata, był rok 1986. – Ameryka? Wtedy? Abstrakcja – śmieje się pani Lidia. Emerytka, ale nie wygląda. Konkretna, z mocnym nauczycielskim głosem – 20 lat w szkole uczyła angielskiego. – Mieszkałam, pracowałam, zarabiałam, wydawałam i jeszcze mi zostawało w tej Ameryce. Bajka! Dziecko można było ubrać, obkupić – wspomina. Dziś Ameryka nie robi wrażenia. Córka pani Lidii jest właśnie na urlopie w Japonii.

Blok to była wtedy goła płyta bez elewacji, a dookoła tylko błoto i pustka. Pierwsi lokatorzy mówili na to „krajobraz księżycowy” i kręcili nosami, że brzydko. – Któregoś razu cholewy w tym błocie zgubiłam, jak szłam do sklepu – opowiada pani Lidia. – Nie było ulic, szło się prosto na górę, do Bora-Komorowskiego, to znaczy teraz to jest Bora-Komorowskiego, bo wtedy to była jakaś aleja, wiadomo – jak to w Hucie.

Skład lokatorski był, tłumaczy pani Lidia, dość elitarny. Mieszkał tu ordynator, mieszkał rektor politechniki. Artyści mieszkali, muzycy. I tacy mniej przebojowi też.

– Po czterech latach wróciliśmy z tej Ameryki – wspomina pani Lidia. – Akurat krajobraz księżycowy zniknął, pojawiły się równe



trawniki i ścieżki między blokami. Córka była atrakcją dla innych dzieci. No, że z Ameryki.

– Była bardzo amerykańska – wspomina tę swoją równolatkę Magda Miklasz. – Jak miała urodziny, to zapraszała wszystkich na tort. Miała dużo zabawek, wszystkie te kucyki Pony, te lalki. Jeździła na rowerku i wołała do wszystkich: „You are stupid”. Opowiadała mi ostatnio, że dzieci jej ciągle kradły zabawki.

REMIGIUSZ GAWLIK MIESZKAŁ NA DZIEWIĄTYM PIĘTRZE bloku od 1983 r., czyli odkąd skończył cztery lata. Syn wspomnianego rektora. Dziś – wykładowca Uniwersytetu Ekonomicznego. Kiedyś, w czasach szkolnych, metalowiec. – Ludzie mieszkają dziś między podobnymi sobie – mówi. – Podobnie się zarabia, podobny ma się status. A w bloku było wszystko wymieszane. Mój ojciec był rektorem. A obok mieszkała babcia wychowująca wnuki łobuziaki. Trzęśli całą okolicę. Bardzo zresztą mili byli, dzięki nim nigdy się nie bałam na osiedlu. Z kolei rodzina Magdy to byli artyści, tacy hipisi. Ojciec Magdy miał długie włosy. Jak robili imprezę u siebie na szóstym, to u mnie na dziewiątym można było siekierę wieszać w powietrzu. Od dymu papierosowego. No i był słynny perkusista. Zbierał na perkusję parę lat, bo rodzina raczej nie miała co chować w materac. No i ledwo uzbierał, to na którejś imprezie perkusja wyleciała przez balkon. Chodził potem do sąsiada z parteru zawstydzony i pytał, czy jej nie znalazł. Może się coś z niej ostało.

– Każdy to pamięta inaczej – mówi Magda Miklasz. Te różne pamięci próbuje w swoim spektaklu zbadać.

W 1990 r. osiedle Dywizjonu oddzielono od Nowej Huty, bo urzędnicy zrobili nowy podział administracyjny Krakowa. Teraz to ani Huta, ani Kraków, tylko Czyżyny. – Jesteśmy na obrzeżach – tłumaczy pan Remigiusz. – Niby bliżej miasta, ale mentalnie jesteśmy hutasy. Do dzisiaj mówi się u nas, że się jedzie do Krakowa, jak ktoś się wybiera do centrum. Podział podtrzymują przede wszystkim stare krakowskie rodziny. Matka mojego profesora była lekarką. Przenieśli ją do szpitala do Huty. Trochę się czuła jak na zesłaniu, a trochę jak jakaś Siłaczka.

– Typowy krakus do Huty nie chce przyjeżdżać, bo to dla niego obraza – potwierdza pani Lidia. Zanim została nauczycielką, 15 lat pracowała w Hucie im. Lenina. Z wykształcenia inżynier metalurg. Mówi o sobie: twarda baba. – Jak tu któryś krakus dostał mieszkanie, to cierpiał. Była jedna lokatorka krakuska, nigdy się tu nie odnalazła. Przy każdej okazji mówiła, że ona z Krakowa. Znam krakusów, którzy do tej pory nie byli w Hucie. I nie przyjadą, bo to Huta.

Stara Nowa Huta to niemal w całości element napływowy. Osiedlali się tu ci, co byli potrzebni do pracy w kombinacie. – Prości ludzie, często ze wsi – mówi pani Lidia. – Widać to po nich zwłaszcza teraz, jak się zestarzelili. Mnie się ta stara Nowa Huta zawsze bardzo podobała. Mieszkałam 200 metrów od placu Centralnego. Wszystko było pod ręką. I ludzie bardzo mili, każdy był z innego końca Polski, każdy chciał się pokazać z dobrej strony. Spodnie szylałam u krawca, u którego wszystkie gangi zamawiały dzinsy, więc wiedziałam, kto jest kto. No i życie towarzyskie kwitło. Ludzie się spotykali, więcej się piło. A dzisiaj? Kto dziś wie, kiedy jest Stanisława albo Jana? A wtedy nie trzeba było wiedzieć, poznawało się po gromkich „Sto lat” płynących z okien.

MIĘDZY BLOKAMI, W SERCU DYWIZJONU, stoi pięćdziesiątka dwójka, czyli Szkoła Podstawowa im. Marii Dąbrowskiej. Na murze mijamy napis: „Bednarz, won z Wisły”. To z czasów konfliktu kibiców z władzami Wisły sprzed dwóch lat. Z kibicami sytuacja jest tu nieco skomplikowana, bo podobno oficjalnie Dywizjon kibicuje Wiśle, sąsiednie Osiedle 2. Pułku Lotniczego – Cracovii, a w całej Hucie rządzi Hutnik. Na osiedlu Dywizjonu mieszkała zresztą legenda Hutnika Mirosław Waligóra, napastnik reprezentacji olimpijskiej Janusza Wójcika, która w 1992 r. zdobyła na olimpiadzie w Barcelonie srebrne medale. W nagrodę każdy piłkarz dostał samochód – złotego poloneza. Auto Waligóry nieraz stało zaparkowane przed klatką.

– Nasz blok był bardzo ważny, bo był blokiem Mirosława Waligóry – mówi Magda Miklasz. – Nie tylko reprezentacji się kibicowało na olimpiadzie, ale też sąsiadowi. A Waligóra bardzo miły.

Parę kroków od szkoły jest jeszcze lasek, a raczej były lasek, w którym dzieciaki bawiły się w chowanego, a młode matki spacerowały z wózkami. Kiedyś był ogrodzony i oficjalnie nie można było do niego wchodzić. – Ludzie i tak tam chodzili. Któregoś dnia byłam tam na spacerze z mamą i młodszym bratem. Podszedł do nas milicjant, a mój brat na to: „Mamusiu, czy to jest ten milicjant, co zabił księdza Popiełuszkę?”

LUDZIE MÓWIĄ, ŻE ZŁOTY POLONEZ WALIGÓRY całkiem by zerdzewiał na deszczu, gdyby nie dwaj dobrzy Janusze, co walczyli ze złym prezesem. W latach 80. prezes spółdzielni był, wiadomo, partyjny, więc walka z prezesem to była taka Solidarność w skali mikro. Jeden Janusz był Miklasz, ojciec Magdy. A drugi – sąsiad. Też fajny gość. – Nowy chodnik wywalczyli, wodę – chwali Januszów Magda. – Podwyżka miała być i do tego hydrofory nie działały. Dwaj Janusze walczyli tak zajadle, że nie dość, że wadliwe hydrofory naprawiano, to jeszcze wycofano się z podwyżki. Blok takimi rzeczami żył. Zebrania były na klatce schodowej, ludzie działali razem. Była zgoda, że Januszom się należy

jakiś order. Mnie się wydaje, że ludzie tu są szczęśliwi – mówi. Miklasz opowiada, że to poczucie szczęścia było dla twórców spektaklu szokiem. – Myśleliśmy, że będziemy opowiadać o blokach na zasadzie: jak tu ciasno, jak tu źle. Że idea Le Corbusiera została wypaczona, że się tu nie da mieszkać. A okazało się, że ludziom żyje się tu dobrze.

– Większość ludzi zostaje w okolicy – mówi pan Remigiusz. – Myśmy z tej niebezpiecznej dzielnicy nigdy nie puciekali. Jestem z pierwszego pokolenia, które jest dumne z bycia hutasami. A młodszy identyfikują się jeszcze bardziej. Mówi się, że u nas sami dresiarze. Nieprawda. Nasze osiedle to była akurat kuźnia metalowców. Kilkadziesiąt zespołów metalowych stąd wyszło. Kto? A np. Grzegorz Bryła, czyli Grysik, twórca Virgin Snatch. Albo Jacek Hiro, jeden z poważniejszych gitarzystów w polskim metalu. A dresiarze też byli kreatywni. W latach 90. sporo hip-hopu było.

”

**NA KAŻDYM PIĘTRZE
KTOŚ NA CZYMŚ GRAŁ,
FORTEPIAN, SKRZYPCE, FLET.
A NA 10. BYŁ FACET, CO GRAŁ
NA PERKUSJI. JAK ZACZYNAŁ,
TO W CAŁYM BLOKU
BYŁO TRZĘSIENIE ZIEMI**

SZCZĘŚLIWCY, KTÓRZY 35 LAT TEMU dostali mieszkania na osiedlu Dywizjonu, trochę się już zestarzelili. Rzadziej ze sobą rozmawiają. I rzadziej muszą sobie pomagać, bo nikt się już dziś nie zacina w mieszkaniu, windy działają, a dzieci nie ma. Dorosły i poszły na swoje. Ostatnio lokalsów połączyła niechęć do deweloperów. – To blokowisko, które wybudowali, to jest tragedia. Napchane takie, nic nie ma: ani placu zabaw, ani kawałka trawnika – mówi pani Lidia. Ludzie podkpiwają, że te apartamenty mają po 30 metrów, a oni w wielkiej płycie mają i po 60, a czasem jeszcze więcej. Tylko tej przestrzeni żal. Zajmuje ją nowy człowiek. Anonimowy, niechętny do pogadania, zalatany. No i jak oni tam będą między sobą rozmawiać, skoro w tych apartamentach ani nic się nie zatnie, ani nie trzeba będzie niewidomej staruszki ratować? Zresztą skąd niewidoma staruszka weźmie kredyt na apartament. A nawet jakby wzięła, to i tak się do niej nikt nie dostanie przez te płoty i ogrodzenia. Nawet żaden Janusz nie będzie już walczył ze złym prezesem, bo czy oni tam mają jakichś prezesów? – Za chwilę tu się wszystko zmieni – zamyśla się pani Lidia na koniec. – Tylko blokowe historie zostaną. Szczęście, że je nasza Magda spisuje. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl